

Piotr Gursztyn, Fundator Instytutu Staszica

Od dziecka uwielbiałem słuchać starszych ludzi opowiadających o tym, jak żyło się przed wojną albo w czasie wojny. Miałem Dziadka Edwarda, który był świetnym gawędziarzem. Zmarł, gdy miałem 14 lat – o wiele lat za wcześnie – ale jego opowieści były tak sugestywne, że utkwily mi w pamięci na całe życie.

Bardzo interesowała mnie przeszłość mojej rodziny. Gursztynowie nie byli rodziną magnacką, wręcz przeciwnie, więc jedynym źródłem wiedzy były okrucy pamięci. Nawet żadne rodowe dokumenty się nie zachowały. Najstarszy z nich pochodzi dopiero z 1918 r. i jest to świadectwo wydane w głębi Rosji potwierdzające to, że mój Pradziadek Klemens jest Polakiem i że powinien być wypuszczony do Polski. W Rosji – wtedy już ogarniętej rewolucją bolszewicką – znalazł się jako żołnierz zmobilizowany do carskiej armii w czasie I wojny światowej. Szczęśliwie dla siebie został skierowany na tyły i mógł tam nawet zabrać swoją rodzinę. Jeszcze większym szczęściem było to, że wszystkim udało się powrócić do kraju.

W każdym razie od małego strzygłem uszami, aby coś dowiedzieć się o moich przodkach. Pamięć ludzka jest niedoskonała. W tradycji rodzinnej zostało tylko to, że moja rodzina pochodziła Inflant bądź Kurlandii, i ponoć była szlachtą. W to ostatnie wątpiłem, bo w żadnym wydawnictwie źródłowym, żadnym herbarzu nie przewinął się ani jeden Gursztyn ani nikt o podobnym nazwisku. Pewne było jedynie to, że Gursztynowie mieszkali na Wileńszczyźnie, a dokładniej na Ziemi Oszmiańskiej. Moja rodzina wyjechała stamtąd, w ramach tzw. „repatriacji”, na przełomie 1946 i 1947 roku. Jednak jacyś nieznani mi bliżej Gursztynowie nadal mieszkają w okolicach Oszmiany, dzisiaj jako obywatele nieszczęsnej Białorusi.

Nagle w XXI wieku genealogom przyszedł w sukurs nowy wynalazek. Internet. A najbardziej miliony skanów zamieszczonych przez amerykańskich mormonów. W zasięgi ręki znalazły się skany ksiąg parafialnych z miejscowości o dźwięcznych nazwach Oszmiana, Żuprany, Traby, Krewa, Holszany. A w nich mało czytelne zawijasy o chrztach, ślubach, pogrzebach różnych Gursztynów, Gusztynow, Hursztynów, Giersztynów, bo tak w czasach, gdy ludzie nie byli zbyt pisemni zapisywano nazwiska członków tych samych rodzin.

Dzięki skanom udało się znaleźć przodków do połowy XVIII wieku. Nic nie było o Kurlandii, ale potwierdziło się np. szlacheckie pochodzenie mojej rodziny. Piszę to z pewną ironią, bo wprawdzie ci dawni Gusztynowie chlubili się tym, że zapisywano ich jako „urodzonych”, ale tak naprawdę byli biedniejsi od myszy kościelnych. Żaden z nich nie miał kawałka własnej ziemi

ani żadnego innego majątku. Służyli jako zarządcy lub dzierżawcy u bogatych ziemian. Typowa dla Kresów szlachta-chołota. Bywali przy tym bezczelni, bo kilku za żony wzięło dziewczyny z dużo bogatszych ziemiańskich domów.

Wzruszyło mnie, gdy w dokumencie z początku XIX w. znalazłem podpis mojego Pra-pra-pra-pradziadka Józefa złożony „własno renko”. Dokument był sporządzony w jęz. rosyjskim, podpis Józef złożył po polsku. Wtedy jeszcze podpisywał się jako „urodzony”. Trzydzieści lat później carat pozbawił szlachectwa setki tysięcy takich hreczkosiejów z ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Odtąd moi przodkowie zaczęli podlegać karom cielesnym, obowiązkowej wieloletniej służbie wojskowej, musieli płacić większe podatki oraz zamknięto im – jako nie-szlachcie – dostęp do szkół. Los mojej własnej rodziny pokazał, co to znaczy żyć w obcym, wrogim państwie. Do czasu odzyskania niepodległości żaden z moich przodków nie ukończył szkoły innej niż wiejska czteroklasowa, nie pełnił żadnej funkcji, ani nawet nie dorobił się jakiegokolwiek majątku. Awans w hierarchii społecznej zaczął się dopiero w latach II Rzeczypospolitej. Losy mojej bardzo zwykłej rodziny są dla mnie najlepszym dowodem na wartość życia we własnym wolnym państwie. Badanie przeszłości przekonało mnie, że to nie abstrakcyjne hasło, ale całkowicie weryfikowalna rzeczywistość.